

BELLE AURORA



RAW

RAW FAMILY # 1

BELLE AURORA

RAW

RAW FAMILY # 1

TŁUMACZENIE
IGA WIŚNIEWSKA

Tytuł oryginału: *Raw*

Copyright © Belle Aurora 2014

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Wydanie II

Redakcja: Alicja Szalska-Radomska

Korekta: Patrycja Siedlecka, Natalia Szoppa, Martyna Janc

Skład i łamanie: Michał Swędrowski

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8418-206-2 · Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
📷 [niezwyklezagraniczne](#)
✂ [Wyd_NieZwykle](#)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

*Każdemu, kto kiedykolwiek kochał bezwarunkowo.
Wszystkim, którzy kochali kiedyś kogoś, kto na to nie zasługiwał.
I w końcu tym,
którzy podążali za swoim sercem tą mniej uczęszczaną drogą.
To dla Was.*



PROLOG

Dwadzieścia lat temu...

Znów ich słyszę.

Awantura u sąsiadów. Mały chłopiec krzyczy do ojca, żeby przestał.

Klękam przy oknie, zaciskam powieki, zakrywam uszy i nuce pod nosem.

Nie podoba mi się to.

Nagle robi się cicho.

Nasłuchuję uważnie, po czym odsłaniam uszy.

Odwracam się, unoszę lekko i wyglądam przez okno, by zobaczyć, jak syn sąsiadów przemyka szybko po trawniku. Potyka się, upada, po czym odczołguje i znika mi z oczu.

Jest ranny.

Serce mi przyspiesza.

Mogę mieć przez to duże kłopoty. Tatuś może być bardzo zły.

Klękam na chwilę, po czym wstaję szybko i zakradam się do drzwi.

Wyteżam słuch.

Gra telewizor, słyszę, jak tata chrapie.

Budzi się we mnie nadzieja.

Na paluszkach schodzę po schodach, wślizguję się do kuchni. Biorę krzesło od niewielkiego stołu z jadalni, stoję na nim, a chwilę później sięgam do wysokiej półki.

Biorę to, czego potrzebuję, odstawiam krzesło i idę do tylnych drzwi.

Sięgam do klamki, łapię ją i... zamieram.

Mogę mieć przez to duże kłopoty.

Serce wali mi w piersi.

Naciskam klamkę: piszczy lekko, a ja czuję strach. Dociskam ją tak wolno, że mam wrażenie, iż zajmuje mi to wieczność. Gdy w końcu słyszę kliknięcie zamka, popycham drzwi. Zdejmuję kapcie i wkładam je między futrynę a drzwi, żeby się nie zamknęły.

Na boso, ubrana jedynie w białą koszulę nocną, zakradam się na podwórko. Czuję pod palcami zimną trawę, gdy podążam za odgłosami ciężkiego oddechu oraz cichego płaczu.

Znajduję go na tyłach domu pod drzewem. Chowa twarz w dłoniach, cały się trzęsie.

Choć ukrywa się w ciemności, i tak nie chce, by ktokolwiek zobaczył jego łzy.

Stara się być silny.

Serce mnie boli.

Powoli podchodzę bliżej, stoję na gałązce. Pęka, a on podrywa głowę i na mnie patrzy.

Wstaje gwałtownie, wołając:

– Nie zbliżaj się!

Kładę na ziemi rzeczy, z którymi przyszedłem, szepcząc:

– Jesteś ranny.

Obserwuje mnie uważnie, jego wzrok wędruje między rzeźbami, które przyniosłam a moją twarzą, zupełnie jakby szukał jakiegoś znaku, że to wszystko żart. Krzywi się, po czym mówi cicho:

– Ja zawsze jestem ranny. – Choć jest ciemno, dostrzegam nie-nawiść w jego oczach. Łśni wyraźnie.

Policzki mu ciemnieją. Z szeroko otwartymi oczami robię krok w przód.

– Krwawisz.

Sięga do policzka, dotyka palcami rany, po czym odsuwa je, by spojrzeć na krew. Rozciera ją powoli kciukiem oraz środkowym palcem. Łagodnie, jakby przepraszało.

– M-mogę ci pomóc – jękam.

Unosi zimne spojrzenie, po czym warczy:

– Nikt nie może mi pomóc.

Nie pozwolę, by tak się rządził.

Kładę dłoń na biodrze, posyłając mu mordercze spojrzenie.

– Mogę mieć przez to kłopoty – syczę. – Tata może być bardzo zły. A jednak... przyszłam ci pomóc. – Nagle bojąc się o siebie samą, mówię zduszonym głosem: – Proszę, pozwól mi sobie pomóc.

Muszę wrócić, zanim tata zorientuje się, że nie ma mnie w łóżku.

Pewnie widać na mojej twarzy strach, bo chłopiec odpręża się nieco.

– W takim razie dlaczego chcesz mi pomóc?

Nie jestem pewna. Wzruszam ramionami.

– Bo jesteś ranny.

– Nikogo innego to nie obchodzi.

Serce mi przyspiesza.

– Mnie obchodzi – szepczę.

Stoimy tak, patrząc się na siebie przez długi czas.

W końcu podchodzi bliżej i pyta:

– Jak masz na imię?

– Alexa. Alexa Ballentine.

Kiwa głową, ale nic nie mówi.

– A ty?

Kopie kamień.

– To bez znaczenia. Zapomnisz je, od razu, kiedy zniknę.

Żołądek mi się ściska. Muszę się dowiedzieć, jak ma na imię.

Podchodzę bliżej.

– Nie zapomnę – obiecuję.

Unosi głowę, odgarniając z twarzy potargane brązowe włosy.
Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę.

– Antonio Falco.

Chcę powiedzieć, że miło mi go poznać, ale wydaje się to nie na miejscu.

Przestępuję z nogi na nogę, po czym pytam:

– Ile masz lat?

Opiera się o drzewo.

– Osiem.

Wygląda na starszego.

– A ty?

– Sześć. – Urywam. – Niedługo będę miała siedem – kłamię.

Marszczy brwi.

– Wyglądasz na starszą.

Wow. Dopiero co pomyślałam to samo o nim.

– Dlaczego tata cię bije? – wypalam bez zastanowienia.

Zaciska szczękę.

– To mój ojczym – wyjaśnia.

Gdy słyszę hałas dobiegający z domu, odwracam się ze zgrozą w oczach. Patrzę na Antonia.

– Proszę, pozwól sobie pomóc – szepczę.

– Okej – mruczy, spuszczaając wzrok.

Ogarniają mnie ulga i radość.

Gdy robi krok w przód i pada na niego światło księżyca, zamieram. Na jego policzku widnieje dziura.

Przełykam z trudem ślinę, starając się nie zwymiotować.

Wyciągam gazę oraz płyn antyseptyczny, ostrzegając:

– Może zapiec.

Ale gdy dotykam jego rany, ani drgnie. Nawet na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku.

Naklejam mu plaster na policzku. Nie jest za bardzo pomocny. Rana jest zbyt duża. Ale on i tak mówi:

– Dzięki.

Podskakuję, gdy słyszę kolejny hałas. Patrzę w jego brązowe oczy, po czym szepczę nagle:

– Muszę iść. Zobaczymy się niedługo, Antonio.

Wlepia wzrok w ziemię.

– Nie. Nie zobaczymy.

I mówił prawdę.

Już nigdy więcej go nie widziałam.



ROZDZIAŁ 1

LEXI

Sydney, Australia, 2014

Pukanie do drzwi nie cichnie.

Wciskam się mocniej w materac i nakrywam szczelniej kołdrą. Czuję, że ciągle jeszcze jestem na granicy snu i jawy.

Puk, puk, puk.

– Alexa, wyłaż z łóżka! Zapomniałaś, jaki dziś dzień? – To chyba Drew.

Gwałtownie otwieram oczy i wzdycham.

– Cholera. – Wyskakuję spod kołdry jak poparzona. – Cholera!

Biegnę korytarzem do drzwi, odblokowuję zamek, po czym otwieram. Po drugiej stronie stoi poirytowany Drew. Gdy zauważa, w jakim stroju jestem, aż rozdziawia usta.

– Cholera! – wołam ze zmarszczonymi brwiami, spuszczając wzrok.

Nie lubię ubierać się zbyt grubo do łóżka. Zwykle śpię w koszulce na ramiączkach i w samych majtkach. Kiedy biegnę z powrotem do swojego pokoju, słyszę chichot mężczyzny.

– Śmiej się do woli, Drew! Dostaniesz za swoje.

Drew to kolega z pracy. Zapomniałam – kurwa, *zapomniałam* – że dziś rano mieliśmy jechać do sądu.

Przeprowadziłam się ze Stanów do Australii, kiedy miałam osiemnaście lat. Moja zastępcza matka opiekowała się mną, od-
kąd skończyłam szesnaście, a kiedy zdrowie zaczęło jej szwankować, chciała zamieszkać tutaj, żeby być bliżej rodziny. Jako że urodziła się w Australii, właśnie ten kraj był celem podróży kobiety. Zrozumiałam wtedy, że nasze wspólne chwile dobiegają końca. Ja zostanę, a ona wyjedzie.

Jednak wszystko potoczyło się zupełnie inaczej.

Przez wiele dni chodziła przygnębiona nieuchronnie zbliżającym się wyjazdem, aż w końcu stwierdziła:

– Musisz spakować swoje rzeczy do pudeł, żeby dotarły przed nami. Ze sobą weź tylko walizkę z ubraniami. Nie będę się spieszyła z ich wysyłaniem zbyt wcześnie, ale chciałabym, żeby już na nas czekały, kiedy dotrzemy na miejsce.

Spojrzałam na nią oszołomiona.

Że co?

Mama posmutniała, gdy zobaczyła moje zaskoczenie.

– Nie chcesz jechać ze mną?

Mrugając przez moment, wydałam z siebie radosny krzyk. Po chwili byłam już przy niej.

– Tak! Tak! Chcę, mamó!

I taki był koniec moich obaw, że zostanę w Stanach sama.

Rozbieram się, spryskuję dezodorantem przez dobrych trzydzieści sekund, po czym odrzucam go na bok i zaczynam

rozglądać się za jakimś przyzwoitym ubraniem. Wybieram białą koszulę z długim rękawem, którą wkładam w czarne spodnie, a do tego dodaję cienki, czarny pasek.

Zdecydowanie wyglądam jak laska z sądu.

Nakładam buty na niskim obcasie, przecieram powieki, by pozbyć się resztek snu, po czym rozpuszczam włosy i rozczesuję je palcami. Spoglądam na siebie w lustrze.

Nie jest źle. Mogło być o wiele gorzej.

Kiwam głową z aprobatą, ściągając wargi.

Będzie musiało wystarczyć, bo na nic więcej nie mam czasu.

Gdy wychodzę z pokoju, Drew odwraca się i kolejny raz obrzuca mnie wzrokiem. Otwiera jeszcze szerzej swoje niebieskie oczy.

– Poważnie, zrobiłaś to wszystko – wskazuje dłonią na moje ciało – w mniej niż piętnaście minut?

Ruszając do kuchni po torebkę, przytakuję.

Potrząsa głową z niedowierzania.

– Będę musiał poważnie porozmawiać ze swoją dziewczyną. No naprawdę. Komu trzeba dwóch godzin na przygotowania przed wyjściem do kina?

Faktycznie długo.

Wreszcie udaje mi się zlokalizować torebkę oraz teczkę z aktami, więc wracam do Drew.

– Nie zaczynaj niczego, co może się obrócić przeciwko tobie. Ona przygotowuje się tyle czasu tylko dlatego, że chce ładnie dla ciebie wyglądać.

Krzywi się, gdy idziemy do drzwi.

– Wolę ją bez tego całego gówna na twarzy.

Zatrzymuję się, kładę rękę na biodrze i przechylam głowę.

– A powiedziałeś jej o tym?

Drew marszczy się z oburzeniem.

Tak, jak myślałam – nie mówił.

Unoszę brwi, celując w niego palcem.

– Musisz jej powiedzieć.

Wychodzimy z mojego mieszkania, po czym kierujemy się do samochodu. W drodze do sądu Drew pyta:

– Wiesz, co masz mówić?

Kiwam głową.

– To prosta sprawa. Wchodzimy i wychodzimy. Tahlia potrafi zadbać o siebie lepiej, niż robią to jej rodzice. Jeśli chce się usamodzielnąć, myślę, że ma na to duże szanse. Nie jest już przecież trzynastolatką. Ma siedemnaście lat, a w wieku piętnastu opuściła dom, znalazła pracę oraz mieszkanie. Sama. Jest odpowiedzialna i... – Odwracam się do Drew, po czym dodaję z uśmiechem: – Jest taką miłą dziewczyną. Uroczą i czarującą. Myślę, że uda jej się wyrwać z systemu.

Mężczyzna z uśmiechem kieruje wzrok na ulicę.

– Mamy zwycięstwo w kieszeni.

Na mojej twarzy pojawia się pełen zadowolenia uśmiech.

– Wiem.

I już nie mogę się doczekać.

Gdy tylko wychodzimy z sądu, porzucam swój pokerowy wyraz twarzy i spieszę do Tahlia.

– Gratulacje, skarbie!

Śmieje się cicho, pozwalając się przytulić. Trzymam ją mocno, nie przestając się uśmiechać.

Kocham swoją pracę.

– Dziękuję – mruczy w moją koszulę. – Naprawdę. Bardzo dziękuję.

Odsuwam się, zakładam jej włosy za ucho, po czym mówię:

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Puszczam ją. – No dobrze, to teraz jesteś wolna i możesz robić, co tylko zechcesz. Ale nie myśl sobie, że zachęcam cię do zarywania nocy i picia, co to, to nie, zrozumiano?

Tahlia przewraca oczami.

– Tak, *mamo*.

Chichoczę. Mówi to w taki specyficzny sposób, a ja uwielbiam australijski akcent.

Z uśmiechem kładę jej dłoń na ramieniu i ściskam.

– Wiesz, że możesz dzwonić do mnie o każdej porze? Nawet jeśli nie będziesz miała żadnej ważnej sprawy. – Wzruszam ramionami. – Możesz dzwonić z głupotami, na przykład, jeśli będziesz potrzebowała porady sercowej albo nie będziesz wiedziała, jakiego detergentu użyć do wywabienia plam. – Śmieje się, a ja uśmiecham się łagodniej. – Dzwon ze wszystkim. Już nie zajmuję się twoją sprawą, ale możesz zostać moim kolejnym dzieckiem.

Uśmiech znika jej z twarzy, a oczy zaczynają lśnić.

– Dziękuję, pani Ballentine – szepcze.

– O nie – stwierdzam poważnie, potrząsając głową. – Jesteś już prawie dorosła. Mów mi Lexi.

Przeciera oczy, by powstrzymać łzy.

– Dziękuję, Lexi.

Idąc tyłem do samochodu Drew, rzucam:

– Nie ma za co.

Mężczyzna czeka cierpliwie na siedzeniu kierowcy, bawiąc się telefonem. Gdy zbliżam się do auta, czuję, że jestem obserwowana przez *niego*.

Niespodziewany dreszcz wstrząsa całym moim ciałem.

Zatrzymuję się gwałtownie, próbując zachować zimną krew. Otwieram torebkę i udaję, że szukam czegoś ważnego.

Serce mi przyspiesza.

Gdzie on jest?

Staram się dyskretnie rozejrzeć. Patrzę na jedną z kafejek po drugiej stronie ulicy. Szukam znajomej czarnej kurtki z kapturem. Już mam się poddać, gdy go dostrzegam.

Obserwuje mnie spod kaptura, wyciągnięty na kawiarnianym krzeselku.

Wiem, że powinnam to zgłosić.

Jest wszędzie. Dosłownie *wszędzie*. Wydaje się wręcz, że wie lepiej niż ja, dokąd się udam w następnej kolejności.

Unosi głowę, nasze oczy się spotykają.

Nigdy dotąd nie pokazywał, że mnie dostrzega. Nie zrobił nic, żeby mnie poznać.

Po prostu... *był*. Nigdy nie wykonał żadnego ruchu, który świadczyłby o tym, że czegoś chce.

Właściwie za każdym razem, gdy go widzę, coś się we mnie zmienia.

Ten nieznajomy mężczyzna siedzi w mojej podświadomości. Pojawia się w snach. Co jest niedorzeczne, wiem.

Jego oczy są dzikie, pełne ognia. Nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

– Gotowa, Lex? – woła Drew.

Potrząsam głową, gdy zdaję sobie sprawę, że od blisko pięciu minut stoję, gapiąc się na nieznajomego po drugiej stronie ulicy. Z płonącymi policzkami odpowiadam:

– Wracajmy do biura.

Ponownie wędruję wzrokiem w jego stronę.

Ostatnie spojrzenie.

Ale go już tam nie ma. Jak zwykle.

Śledzona przez ducha.

Wzdycham po cichu.

Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Gdy dojeżdżamy do pracy, żegnam się z Drew i po raz tysięczny przyjmuję gratulacje w związku z wygraną sprawą Tahlii.

Uśmiech nie schodzi mi z ust podczas drogi do biura. Kiedy do niego wchodzę, okazuje się, że ktoś siedzi na moim krześle.

Cóż, w zasadzie to rozpiera się na nim jak jakiś milioner, ze stopami na biurku.

– Michael, zabieraj te nogi. Natychmiast.

Odzywanie się surowym, matczynym głosem nie jest specjalnie pomocne, jeśli robię to z szerokim uśmiechem na twarzy.

Ale z Michałem jest inaczej. To dobry dzieciak.

Zabiera nogi, uśmiechając się krzywo.

– Masz dla mnie jakieś nowe wieści?

Cholera.

Mina mi rzednie. A kiedy to zauważa, jemu też.

Michael ma prawie siedemnaście lat. Wychowuje się w rodzinie zastępczej, ale problem w tym, że jego biologiczna matka niepełna sześć miesięcy temu wyszła z więzienia, a on chce znów z nią zamieszkać.

Ale ona...

– Nie chce mnie z powrotem. – Ze złością patrzy w podłogę.

Podchodzę bliżej, kładę torebkę na biurku i z westchnieniem siadam na drugim krześle.

– Och, skarbie. To nie tak. Nie chodzi o to, że cię *nie chce*, bo chce. Tu chodzi o coś zupełnie innego.

Unosi wzrok.

– Powinnaś być po *mojej* stronie.

Nachylam się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Jestem zawsze po twojej stronie. Nigdy w to nie wątp.

To najwyraźniej trochę go uspokaja, ale nadal wygląda na wkurzonego.

– Dlaczego? – pyta cicho.

Odchylam się na krześle, po czym wyjaśniam:

– Gdy ktoś wychodzi z więzienia, dzieje się wiele rzeczy naraz. Zwykle mieszkanie, które państwo zapewnia takiej osobie, nie jest zbyt dobre. Otrzymuje jedynie podstawowe środki do

życia. Potem musi znaleźć pracę. I ją utrzymać. Twoja mama co tydzień ma chodzić na terapię, a przez jakiś czas będą jej też co miesiąc robić testy na obecność narkotyków. I, mówiąc szczerze, kotku... – chłopak unosi wzrok – według niej zasługujesz na coś lepszego. Ja też tak uważam. Obawia się, że odzyska cię tylko na kilka miesięcy, a potem skończysz osiemnaście lat i się usamodzielnisz. Bo tak będzie, prawda?

Twarz Michaela łagodnieje.

– Tak. Tylko najpierw muszę zarobić trochę kasy.

Wyginam wargi w lekkim uśmiechu.

– Dobrze, więc znajdziemy ci pracę.

Kiwa głową, a potem pyta:

– Jak poszło z Tahlią?

Mały gno...

Wie, że nie mogę mu udzielić takiej informacji.

Przybieram nieodgadniony wyraz twarzy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Szczerzy się.

– Właśnie, że wiesz. Dziś miała rozprawę. A ty pracowałaś nad jej sprawą.

Bez emocji wzruszam ramionami.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś o Tahlii, sugeruję, żebyś zapytał właśnie ją.

Patrzy na mnie z rozmarzeniem.

– Jest niezłą laską. Widywałem ją w szkole, ale nigdy nie miałem okazji zagaadać. A chciałbym.

To takie urocze. Coraz trudniej jest mi utrzymać pokerową twarz.

– Cóż, w takim razie może się postaraj. Zaprosz ją gdzieś. Idźcie do kina czy coś w tym stylu.

Na jego obliczu pojawia się stoicki spokój.

– Zaproszę gdzieś dziewczynę tylko wtedy, kiedy będę wiedział, że mogę o nią zadbać. W tej chwili nie mogę, więc randki nie wchodzi w grę.

Boże, zlituj się. Rośnie nam tu idealny materiał na męża.

Uśmiecham się łagodnie.

– Dobry z ciebie chłopak, Mikey. Znajdziemy ci pracę. Wkrótce.

Wstaje nagle, zabiera plecak, po czym rusza do drzwi.

– Do zobaczenia, pani Ballentine.

Odwracam się za nim i wołam:

– Do zobaczenia, skarbie!

Zaraz po wyjściu Michaela wchodzi Charlie. Charlie to mój szef, a przy tym niesamowity facet. Jest Maorysem i pochodzi z Nowej Zelandii. Co za tym idzie, jest wysoki i gruby, ma oliwkową skórę, a do tego tak słodki i wysoki głos, że gdy z nim rozmawiam, czuję się, jakbym mówiła z owcą w skórze wilka.

– Możemy zamienić słówko, Lex?

Zapraszam go gestem dłoni.

– Pewnie. Co mogę dla ciebie zrobić?

Siadam za swoim biurkiem, a on zajmuje miejsce naprzeciwko mnie i wręcza mi ulotkę wraz z dokumentami. Kiwam głową, wiedząc już, o co chodzi.

Test na narkotyki, powtarzany co roku.

Na moim stanowisku jest to obowiązkowe. W Australii nie ma żadnej tolerancji dla narkotyków wśród pracowników opieki społecznej. Co mi nie przeszkadza. I tak ich nie biorę.

Charlie nachyla się, po czym mówi cicho:

– W tym roku przyszły wcześniej. Dostaliśmy cynk, że ktoś z biura bierze.

Na myśl, że któryś z moich współpracowników został przyłapany na zażywaniu narkotyków, zaczyna swędzieć mnie skóra, a włoski na karku stają dęba.

– Och – szepczę z szeroko otwartymi oczami.

Charlie kiwa głową na moją reakcję.

– Dokładnie. Zastanawiamy się, czy nie zacząć robić testów dwa razy do roku. By ludzie nie czuli się zbyt pewnie.

Całkowicie się z nim zgadzam.

– Jeśli zaczynają sobie folgować, to może być dobry pomysł. Szczególnie że ktoś z naszych bierze.

Wściekam się na myśl, że jednym z moich dzieci miałyby opiekować się osoba, która zażywa dragi.

Wiele z nich widziało już zbyt dużo złego w swoim życiu, a za większością z tych rzeczy stały narkotyki. Chcę ochronić te dzieci. Chcę, żeby miały dzieciństwo, którego ja nie miałam. Chcę przy nich być, żeby chwycić ich dłoń, gdy zdarzy im się upaść.

Ale muszę uważać.

I będę uważać.

Na tyle, na ile osoba, która ma stalkera, jest w stanie.

W drodze powrotnej śpiewam razem z radiem. Świadoma, że nie mam niczego, ale to *niczego* w lodówce, zatrzymuję się przy restauracji drive-thru, żeby zamówić burgera. Potem wracam do domu.

Parkuję tam, gdzie zwykle. Marszczę brwi, gdy zauważam, że obie latarnie oświetlające parking są zepsute. Zwykle działają na zmianę. Siedzę przez chwilę w aucie.

Dziwne, wczoraj świeciły obie.

Dyskretnie otwieram drzwi i się rozglądam. Wszystko wydaje się w porządku.

Więc dlaczego serce bije mi tak szybko?

Sama się nakręcasz.

Parskam pozbawionym humoru śmiechem, po czym przesuwam dłoń po twarzy. Naprawdę sama się nakręcam. Światła nie działają, a ja już panikuję. Potrząsam głową na własną głupotę, a potem z westchnieniem otwieram drzwi. Wyciągam spod siedzenia swój posiłek.

– Cholera!

Napój wylatuje mi z dłoni i wylewa się na fotel.

Z westchnieniem sięgam na tylną kanapę, gdzie zwykle trzymam ręcznik na siłownię. Rzucam go na przednie siedzenie i staram się wytrzeć tyle, ile się da. Gdy się cofam, ktoś nagle jedną ręką zakrywa mi usta, a drugą łapie mnie w talii. Mocno.

Słyszę dyszenie przy uchu.

– Krzyknij, a zerżnę cię bez gumki. Mam AIDS. Chcesz AIDS, suko?

Z całych sił staram się nie panikować, gdy kręcę szybko głową, a napastnik śmieje się przy mojej twarzy.

Pachnie źle. Naprawdę źle. Cuchnie zgnilizną.

– Pójdiesz ze mną. Nie będziesz walczyć. Będziesz grzeczna, prawda?

Kiwam głową, przymykając oczy. Ale gdy ciągnie mnie wzdłuż budynku, zaczynam płakać. Łzy płyną mi po twarzy, a ciało trzęsie się ze strachu. Nic nie mogę na to poradzić. Wiem, że zgodziłam się, że nie będę walczyć, ale zapieram się obcasami i wbijam mu paznokcie w ramię. Nie chcę, by zabrał mnie w jakieś ciemne miejsce na uboczu.

To kawał chłopa. Nie poradzę sobie z nim sama. Gdy zdaję sobie z tego sprawę, zaczynam płakać jeszcze bardziej, rozumiejąc w pełni, w jak beznadziejnej znalazłam się sytuacji.

Wzdrygam się z odrazy, kiedy ciepłym, mokrym językiem liże skórę na mojej twarzy.

– Och, cicho. Będzie ci się podobało. Obiecuję.

Na pewno nie, ty chory pojebie!

– Zamknij oczy! – rozkazuje.

Nie słucham. Zaczynam się stawiać. Oczy mam ciągle otwarte.

I wtedy dźga mnie nożem w bok. Głęboko. Gdy czuję, jak czubek przebija mi skórę, szlocham w jego brudną dłoń.

– Zamknij, kurwa, swoje oczy, szmato.

Dygoczę, opuszczając powieki, a potem czuję, jak wolną ręką ciągnie moje spodnie w dół. Pasek go powstrzymuje.

– Rozepnij pasek i ściągnij majtki – warczy. – Natychmiast.

Moje trzęsące się dłonie nie chcą ze mną współpracować, kupując mi trochę czasu, ale to trwa do chwili, gdy napastnik zaczyna ciągnąć mnie mocno za włosy. Wyję z bólu. Nóż zniknął, a chwilę później czuję nacisk ramienia na szyi. Ręką rozpycha uda, a ostrze przenosi pod ucho. Chociaż jestem roztrzęsiona, jakoś udaje mi się rozpiąć pasek oraz guziki. Odwraca mnie, żeby wcisnąć mój policzek w zimne cegły. Ostrze spoczywa teraz na gardle. Szarpie mi spodnie w dół, a ja instynktownie zaciskam uda. Wciska między nie rękę i pociera mnie przez majtki, przez co płaczę jeszcze głośniejszym głosem. Kiedy czuję na tyłku jego fiuta, wzdrygam się tak mocno, że ciało zaczyna mi się telepać.

Zalewa mnie obrzydzenie. To jest obrzydliwe.

Mocniej ściskając moją szyję, syczy:

– Zamknij mordę i nie wydawaj żadnego, kurwa, dźwięku.

Jego zapach otacza mnie ze wszystkich stron, płaczę tak mocno, że się krztuszę.

Zabiera rękę pomiędzy moich nóg, po czym wsadza ją pod koszulę, by ścisnąć pierś.

Serce mi krwawi przy każdym odrażającym dotyku. Obmacuje mnie tam, gdzie mu się podoba, zupełnie jakbym była zabawką, a nie człowiekiem. Zsuwa dłoń po żebrach, opiera ją na biodrze, po czym stwierdza:

– Niech mnie, trafiłem na ślicznotkę.

A potem wkłada mi ręce w majtki i mocno ściska tyłek. Moim ciałem wstrząsają kolejne dreszcze. Marzę tylko o tym, żeby to przetrwać.

Nigdy nie byłam ofiarą napaści. Ale wielu z moich podopiecznych było. I teraz wiem, że za każdym razem, gdy mówiłam do któregoś ze swoich dzieci „rozumiem”, nie miałam pojęcia, o czym gadam.

Ani trochę.

Niemal czuję, jak łamie mi się teraz serce.

Nagle zostaje gwałtownie odciągnięta do tyłu. Łąduje na twardym betonie z głuchym łupnięciem i z niepokojem obserwuję rozgrywającą się przede mną scenę.

Twarz mojego wielkiego napastnika zostaje wcisnięta w cegły przez równie wysokiego mężczyznę.

Czarny kaptur.

To on.

Trzyma tego bydlaka za szyję i wali jego głową w ścianę, unosząc przy tym kolano.

Łup, łup.

Robi to znowu i znowu. Żołądek mi się wywraca na widok tej zaciekłości. W końcu słyszę cichy brzdęk upadających na ziemię zębów i zdaję sobie sprawę, że zbok, który mnie zaatakował, właśnie kilka stracił.

O Boże.

Mężczyzna w kapturze nadal kontynuuje swój atak bez jednego słowa. Rzuca gościa na ziemię, a następnie kopie w żebra, jakby to była piłka. Robi tak kilka razy, aż w końcu nasze spojrzenia się krzyżują.

Zamiera zdyszany, po czym się zbliża.

Przerażona patrzę przez łzy, jak podchodzi coraz bliżej. Jest o krok ode mnie, gdy słyszę swój własny szept.

– Proszę, nie zbliżaj się.

Łokcie mnie pieką, z pewnością zdarłam sobie skórę. Kiedy usiłuję się podnieść, z ust wyrывa mi się bolesny jęk.

I wtedy mój stalker robi coś, o czym marzyłam od *dawna*.

Zdejmuje z głowy kaptur.